GUILLAUME

MUSSO

APARTAMENT W PARYŻU

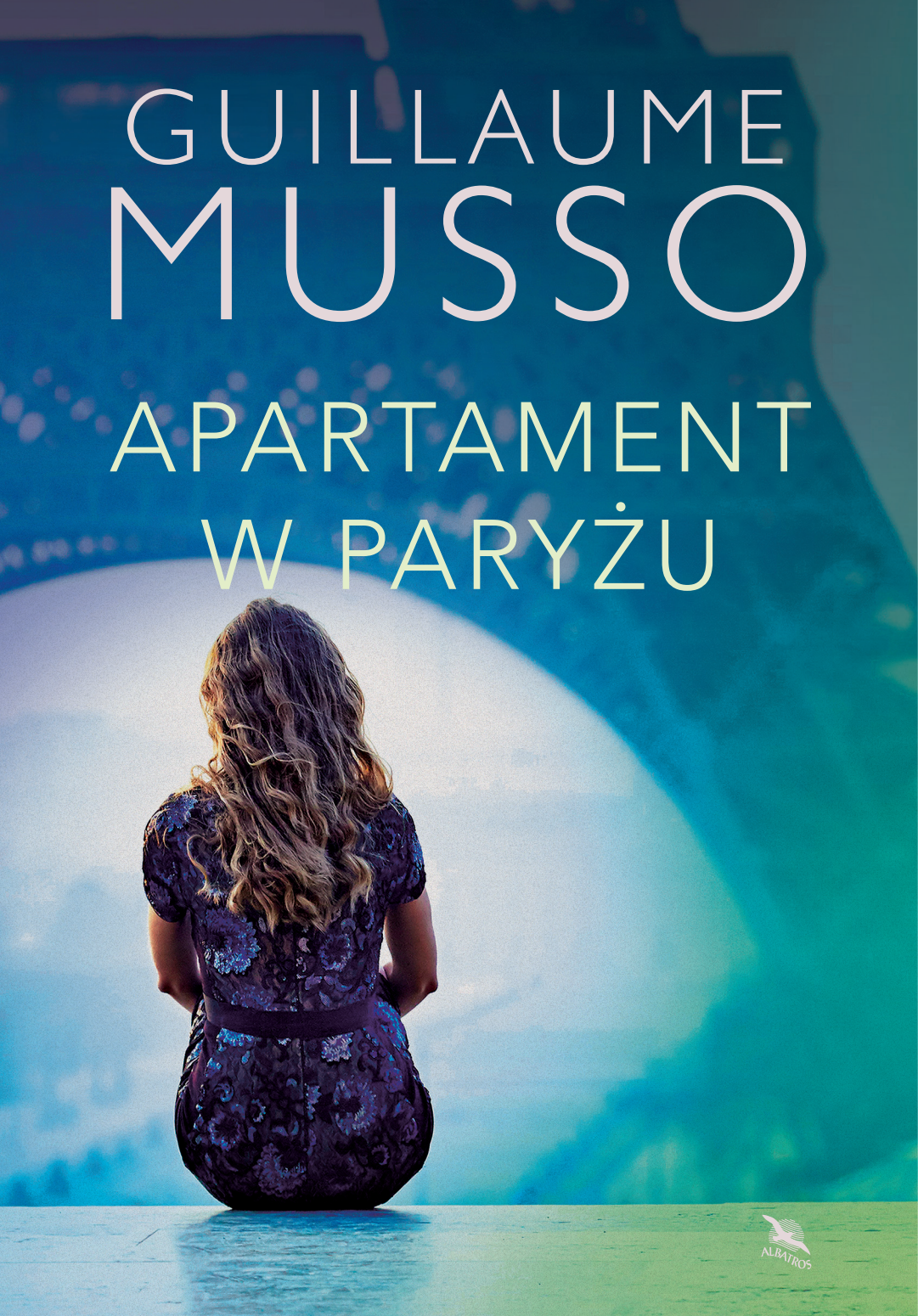

ALBATROS

Londyn, sobota przed południem.

Jeszcze tego nie wiesz, ale za niecałe trzy minuty spotka cię coś najgorszego w życiu, czego się nie spodziewasz, a co zaboli tak jak dotknięcie rozgrzanym żelazem.

Na razie spacerujesz sobie spokojnie po korytarzach galerii handlowej wyglądającej jak starożytne atrium. Po dziesięciu dniach deszczu niebo znów stało się piękne, ciemnoniebieskie. Igrające w szklanym dachu promienie słońca wprowadzają cię w dobry nastrój. Aby uczcić początek wiosny, kupiłaś sobie nawet tę czerwoną sukienkę w białe grochy, którą zauważyłaś dwa tygodnie temu. Czujesz się lekko, prawie swawolnie. Zapowiada się przyjemny dzień: najpierw lunch w restauracji w towarzystwie najlepszej przyjaciółki, Jul', potem obie pójdziecie zrobić sobie manicure, pewnie jeszcze jakaś wystawa w Chelsea, a wieczorem koncert PJ Harvey w Brixton.

Spokojne, przyjemne życie.

Ale nagle widzisz…

*

Małego chłopczyka, ubranego w dżinsowe ogrodniczki i granatową budrysówkę. Dwa latka, może trochę więcej. Wielkie, jasne, roześmiane oczy za kolorowymi okularami. Delikatne rysy, pucołowata buzia, krótkie loczki błyszczące jak łan zboża w letnim słońcu. Już od dłuższej chwili przyglądasz mu się z daleka, ale im bliżej do niego podchodzisz, tym bardziej fascynuje cię jego twarz. Niewinna, radosna, nieskalana strachem ani cierpieniem. Wszystko jeszcze przed nim, całe życie, nieograniczone możliwości, radość, szczęście.

On też na ciebie patrzy. Na szczerej buzi pojawia się porozumiewawczy uśmiech. Z dumą pokazuje ci metalowy samolocik, który grubymi paluszkami ściska nad głową.

– Wrrrumm, wrrumm… – warczy, naśladując warkot silnika.

Uśmiechasz się do niego i ogarnia cię osobliwe uczucie. Powoli zaraża cię dziwnym smutkiem trucizna niezidentyfikowanej emocji.

Dziecko rozkłada ręce i zaczyna dreptać wokół kamiennej fontanny, rozpryskującej wodną mgłę pod kopułą galerii. Przez sekundę masz wrażenie, że chłopiec biegnie w twoją stronę i zaraz wskoczy ci na ręce, ale…

– Tata! Tata! Zobacz, jestem samolotem!

Podnosisz wzrok i napotykasz spojrzenie mężczyzny, który łapie dziecko w biegu. Przenika cię zimno i serce przestaje ci bić.

Znasz tego mężczyznę. Pięć lat temu przeżyliście romans, który trwał nieco ponad rok. To dla niego przeprowadziłaś się z Paryża na Manhattan i zmieniłaś pracę. Przez pół roku staraliście się nawet o dziecko, ale nic z tego nie wyszło. A potem mężczyzna, który był już ojcem jedynaka, wrócił do swojej byłej żony. Zrobiłaś wszystko, co możliwe, by został przy tobie, to jednak nie wystarczyło. Był to dla ciebie bardzo bolesny

okres, a kiedy wydawało ci się, że już się uwolniłaś, nagle go ujrzałaś i serce ci pękło.

Teraz rozumiesz, dlaczego byłaś tak dziwnie poruszona. Ten chłopczyk mógł być waszym dzieckiem, więcej, powinien nim być!

Mężczyzna poznaje cię od razu. Nie ucieka spojrzeniem. W jego oczach pojawia się smutek. Widać, że jest tak samo zaskoczony jak ty, że czuje się źle, a nawet, że jest mu trochę wstyd. Oczekujesz, że podejdzie i odezwie się do ciebie, ale on reaguje niczym spłoszona zwierzyna. Obronnym gestem obejmuje chłopca i odwraca się w przeciwną stronę.

– Chodź, Joseph, idziemy!

Ojciec i syn oddalają się, a ty nie wierzysz własnym uszom. Takie imię wybraliście dla waszego dziecka! W oczach stają ci łzy. Obrabował cię, okradł! Opada cię fala nagłego zmęczenia. Przez długą chwilę stoisz oszołomiona, skamieniała, nie możesz nawet przełknąć śliny.

*

Ledwo udaje ci się dojść do wyjścia. W uszach ci szumi, idziesz sztywno jak kukła, ręce i nogi masz ciężkie jak z ołowiu. Ostatkiem sił zatrzymujesz taksówkę przy Saint James's Park, ale przez całą drogę drżysz pod natłokiem złych myśli, które starasz się odpędzić. Nie rozumiesz, co ci jest.

W mieszkaniu idziesz prosto do łazienki, by napuścić wody do wanny. Nie zapalasz światła w sypialni. Wciąż ubrana padasz na łóżko i leżysz bez ruchu. W głowie przesuwają ci się obrazy chłopca z metalowym samolocikiem i rozpacz, która cię ogarnęła, gdy zobaczyłaś ukochanego, przekształca się w uczu-

cie okropnej pustki. Oczywiście płaczesz, ale myślisz, że to łzy ulgi, że ten atak sam minie. Tymczasem cierpienie narasta, puchnie i zalewa cię jak tsunami, porywa cię ze sobą, rozbija wszystkie tamy, uwalniając lata urazy i zawiedzionych nadziei. Zabliźnione, jak sądziłaś, rany otwierają się.

Wkrótce lodowate macki hydry-paniki oplatają twoje członki. Nie! Zrywasz się z łóżka. Serce łomocze ci w piersi. Kilka lat temu przeżyłaś już coś podobnego i wówczas skończyło się to źle. Ale mimo że odganiasz to wspomnienie, nie udaje ci się zatrzymać nieubłaganego. Nie umiesz powstrzymać dreszczy, wleczesz się do łazienki.

Apteczka. Lekarstwa. Do wanny, z której wylewa się woda, wchodzisz częściowo ubrana. Woda jest zbyt gorąca, a może zbyt zimna, nie wiesz, masz dosyć. Twoją pierś zgniata ogromne imadło. W brzuchu czujesz otchłań. Przed oczami czarno, rozpaczliwie.

Nie rozumiesz nawet, co się z tobą dzieje. Przez ostatnie lata pogubiłaś się, to prawda, od dawna jednak wiesz, jak kruche może być życie. Nie spodziewałaś się, że akurat dziś grunt usunie ci się spod stóp i że tak szybko upadniesz. Nie zdawałaś sobie sprawy, że pogrążasz się w bagnie. Ten smutek, ta trucizna, ta beznadzieja… To uczucie ciągłej samotności, które, nagle rozbudzone, pchnęło cię w nicość.

*

Buteleczki z lekarstwami unoszą się na powierzchni wody jak żaglówki w bezwietrzny dzień. Otwierasz je i połykasz tabletki garściami. Ale to nie wystarcza. Musisz wykonać zadanie do końca, więc wyjmujesz żyletkę z maszynki do golenia

leżącej na brzegu wanny i przesuwasz nią w poprzek jednego i drugiego nadgarstka.

Zawsze w życiu zaciekle o wszystko walczyłaś, ale dziś już nie masz siły. Wróg nie chce cię puścić wolno, a zna cię lepiej niż ty sama. Przykładając ostrze do żył, z ironią wspominasz przesadną radość, jaką odczułaś dzisiaj rano, obserwując słońce z okien mieszkania.

Potem nadchodzi ten dziwny, uspokajający moment, kiedy czujesz, że klamka zapadła i że rozpoczęła się podróż bez powrotu. Jak zahipnotyzowana patrzysz na strumyczki krwi, które na powierzchni wody układają się w piękne arabeski. Wiesz, że odchodzisz, i myślisz, że przynajmniej zniknie ból, a w tej chwili to bezcenne.

Gdy diabeł ciągnie cię za sobą w ogień piekielny, znów powraca obraz chłopczyka. Widzisz go na plaży, patrzy na morze. W Grecji albo na południu Włoch… Jesteś tuż obok. Tak blisko, że czujesz jego zapach – pachnie piaskiem i kłosami zboża, tak przyjemnie jak lekki wiatr w letni wieczór.

Kiedy chłopiec unosi głowę i spogląda na ciebie, wzrusza cię jego śliczna buzia, zadarty nosek i przerwa między górnymi jedynkami, która sprawia, że ma tak czarujący uśmiech. Dziecko rozkłada rączki i zaczyna biegać wokół ciebie.

– Mama, patrz, jestem samolotem!

W ŚRODKU ZIMY

Wtorek, 20 grudnia

1
Syndrom Paryża

Paryż to zawsze dobry pomysł!
Audrey Hepburn

1

Lotnisko Roissy-Charles de Gaulle, hala przylotów.

W pewnym sensie piekło na ziemi.

Przed stanowiskami kontroli paszportowej kłębiły się setki podróżnych, zbitych w długiej kolejce wijącej się jak otyły wąż boa. Gaspard Coutances patrzył na rząd kabin z pleksiglasu znajdujących się dwadzieścia metrów przed nim. Stanowisk kontroli było tam mnóstwo, ale tłum pasażerów obsługiwało tylko dwóch policjantów. Gaspard westchnął. Za każdym razem, gdy tu lądował, zastanawiał się, jak zarządzający lotniskiem mogą tak lekceważyć fatalną opinię, którą ta nieudolna organizacja wyrabia Francji w oczach świata.

Przełknął ślinę. Na dodatek było potwornie gorąco. W ciężkim, wilgotnym powietrzu unosiła się okropna woń potu. Gaspard stał między nastolatkiem wyglądającym jak członek gangu motocyklowego i grupą Azjatów. Atmosfera była napięta – pasażerowie o twarzach zombi po dziesięcio- czy piętnastogodzinnym locie, wpadając do zupełnie innej strefy czaso-

wej, odkrywali z irytacją, że to jeszcze nie koniec ich drogi krzyżowej.

Męka Gasparda zaczęła się zaraz po wylądowaniu samolotu: mimo że z Seattle przylecieli punktualnie, tuż przed dziewiątą rano, ponad dwadzieścia minut trwało instalowanie rękawa, żeby można było opuścić pokład. Po wyjściu zaś czekały go: długi labirynt obskurnych korytarzy, prawie niemożliwe do odszyfrowania wskazówki na tablicach informacyjnych, potykanie się o nieczynne schody ruchome, przepełniony autobus, wreszcie ta ponura sala z rzędem kabin dla funkcjonariuszy sprawdzających paszporty. Witajcie we Francji!

Z ciężką torbą na ramieniu i zlany potem, Gaspard miał wrażenie, że od wyjścia z samolotu przeszedł już co najmniej trzy kilometry. Przygnębiony zastanawiał się, co w ogóle tu robi. Dlaczego rok w rok skazywał się na miesiąc samotnego pobytu w Paryżu, żeby napisać nową sztukę? Zaśmiał się nerwowo. Prosta odpowiedź brzmiała niczym slogan: technika tworzenia w środowisku nieprzyjaznym. Co roku o tej samej porze jego agentka Karen wynajmowała mu dom lub mieszkanie, gdzie mógł pracować w spokoju. Gaspard tak nienawidził Paryża, zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia, że bez żalu siedział zamknięty przez całe dnie i noce. W rezultacie sztuka pisała się sama, no… prawie sama. W każdym razie pod koniec stycznia była zawsze gotowa.

Kolejka posuwała się rozpaczliwie powoli. Czekanie w niej zakrawało na bohaterstwo. Podekscytowane dzieciaki wrzeszczały wniebogłosy, ścigając się między barierkami, jakaś starsza para podtrzymywała się nawzajem, żeby nie upaść, a niemowlę zwymiotowało na szyję matki zawartość wyssanej przed chwilą butelki.

– Cholerne Boże Narodzenie! – jęknął Gaspard, wdychając cuchnące powietrze.

Widząc niezadowolenie na twarzach towarzyszy niedoli, przypomniał sobie artykuł, który przeczytał w jakimś piśmie, zatytułowany *Syndrom Paryża*. Co roku wielu japońskich i chińskich turystów trafia do szpitala i często kończy się to ich przyspieszonym powrotem do domu, z powodu problemów psychicznych, które dopadają osoby po raz pierwszy odwiedzające stolicę Francji. Ledwo wysiadali z samolotu, pojawiały się dziwne objawy – bredzili, załamywali się nerwowo, mieli halucynacje, urojenia… Z czasem psychiatrzy znaleźli wyjaśnienie tych niepokojących symptomów. Zaburzenia miał wywoływać rozdźwięk między fantastyczną wizją Miasta Świateł a tym, czym Paryż był naprawdę. Turyści myśleli, że odkryją cudowny świat Amelii, ten z filmów i reklam, a lądowali w mieście trudnym i wrogim. Paryż z wyobraźni – miasto romantycznych kafejek, bukinistów znad Sekwany, Montmartre'u i Saint-Germain-des-Prés – rozbijał się z hukiem o rzeczywistość: brudne ulice, kieszonkowców, brak bezpieczeństwa, zanieczyszczone powietrze, brzydotę wielkich osiedli, odrapane wagony metra i stare autobusy.

Aby zacząć myśleć o czymś innym, Gaspard wyjął z kieszeni kilka złożonych na czworo kartek. Był to opis i zdjęcia złotej klatki, którą agentka wynajęła mu w szóstej dzielnicy. Chodziło o dawną pracownię malarza Seana Lorenza. Kuszące ujęcia przedstawiały przestrzeń otwartą, jasną, odpowiednią do odpoczynku, doskonałą na maraton pisarski, który go czekał. Zwykle nie ufał fotografiom, ale Karen oglądała to miejsce i zapewniła go, że mu się spodoba.

– A nawet więcej! – dodała tajemniczo.

Oby już się tam znaleźć!

Czekał jeszcze ponad kwadrans, zanim funkcjonariusz kontroli granicznej łaskawie rzucił okiem na jego paszport. Nieprzystępny, obojętny, nie powiedział ani „Dzień dobry", ani „Dziękuję" i dokumenty również zwrócił mu w milczeniu, mimo że Gaspard życzył mu grzecznie „Miłego dnia!".

Kolejna zagadkowa informacja na tablicach. Gaspard ruszył w złym kierunku i musiał zawrócić. Kaskada schodów ruchomych. Mnóstwo automatycznych drzwi, otwierających się zawsze o sekundę za późno. Na ruchomym chodniku przyspieszył. Na szczęście nie był tak głupi, żeby nadać swoją torbę jako bagaż, niewiele więc już dzieliło go od opuszczenia tego piekła. Jeszcze tylko przepchać się przez tłum, z niewiadomych przyczyn blokujący wyjście z hali przylotów. Wreszcie przebił się przez masę ludzką, potrącając całującą się parę i przeskakując przez podróżnych śpiących na podłodze. Widoczne w pewnej odległości drzwi z napisem „Wyjście – Taksówki" oznaczały koniec tej drogi przez mękę. Kilka ostatnich metrów i będzie wolny! Wsiądzie do samochodu, założy słuchawki i ucieknie w świat muzyki – Brad Mehldau na fortepianie i Larry Grenadier na basie. Po południu siądzie do pisania i…

Ulewa ostudziła jego zapał. Strugi deszczu uderzyły o asfalt. Smutne, ołowiane niebo co jakiś czas przecinały błyskawice. Żadnej taksówki na horyzoncie. Zamiast nich autokary policyjne i zdezorientowani pasażerowie.

– Co się dzieje? – spytał tragarza, który ze stoickim spokojem palił papierosa.

– Co, nie wie pan? Strajk!

2

W tej samej chwili na Gare du Nord Madeline Greene wysiadała z londyńskiego eurostaru, który dojechał na miejsce o dziewiątej czterdzieści siedem.

Pierwsze jej kroki na francuskiej ziemi były niepewne, czuła się tu zdecydowanie obco. Nogi miała ciężkie, krok chwiejny. Do zmęczenia dochodziły zawroty głowy, uporczywe mdłości i piekąca zgaga. Lekarz uprzedzał ją o skutkach ubocznych stymulacji hormonalnej, ale nie wyobrażała sobie, że Boże Narodzenie spędzi w takich mękach.

Walizka, którą ciągnęła, ważyła chyba tonę. Stukot kółek toczących się po betonowej nawierzchni huczał jej pod czaszką i rozsadzał głowę, wzmagając migrenę, z którą rano się obudziła.

Zatrzymała się na chwilę, żeby podsunąć suwak skórzanej kurtki podbitej kożuszkiem. Była spocona jak mysz, drżała jednak z zimna. Z trudem oddychała i przez moment obawiała się, że zemdleje, ale przy końcu peronu odzyskała część sił, jakby gorączkowa atmosfera dworca pobudziła jej organizm do działania.

Mimo złej sławy Gare du Nord zawsze ją fascynował. To, co inni brali za bałagan i brak bezpieczeństwa, dla niej było skoncentrowaną i zaraźliwą werwą. Raczej jarmark cudów, ul pełen życia, a nie slumsy. Tysiące ludzi biegało we wszystkich kierunkach, tysiące ludzkich losów krzyżowało się, rozsnuwając olbrzymią pajęczą sieć. Ciągły oszałamiający przypływ gigantycznych fal, które trzeba było umieć pokonywać, aby nie utonąć.

Dworzec przypominał jej scenę w teatrze, po której wszyscy – turyści, mieszkańcy przedmieść, biznesmeni, chuligani, policjanci, uliczni sprzedawcy, handlarze narkotyków czy pracownicy kafejek i okolicznych sklepów – poruszali się niczym tłumy aktorów. Obserwując ludzkie mrowie pod wielkim szklanym dachem, Madeline pomyślała o jednej z tych śnieżnych kul, które babcia przywoziła jej zawsze z podróży. Dworzec był taką ogromną kulą, brzęczącą jak ul, pękającą pod naporem tłumów, tyle że bez sztucznych płatków śniegu.

Na dziedzińcu uderzył ją silny podmuch wiatru. Pogoda była tu jeszcze gorsza niż w Londynie: z brudnego nieba lały się strugi deszczu i panowała pełna duchoty wilgoć. Tak jak uprzedzał Takumi, dziesiątki taksówek blokowały dojazd do dworca. Ani autobusy, ani samochody osobowe nie zabierały pasażerów, zostawiając wszystkich na pastwę losu. Grupa dziennikarzy z telewizji filmowała wciąż ten sam skecz odgrywany przed kamerą przez przekrzykujących się strajkujących i podróżnych – gazety i kanały informacyjne uwielbiały takie sceny.

Madeline przyspieszyła kroku, żeby wyminąć hałaśliwe zbiegowisko. Dlaczego nie wzięłam parasolki? – jęknęła w duchu, przechodząc przez ulicę w kierunku boulevard de Magenta. Ponieważ szła skrajem chodnika, ochlapał ją pierwszy z samochodów, który wjechał w kałużę. Przemoczona i wściekła ruszyła w dół rue Saint-Vincent-de-Paul, w stronę kościoła parafialnego. Tam za kierownicą furgonetki zaparkowanej w drugim rzędzie czekał na nią zawsze punktualny Takumi. Jego pstrokate auto ozdobione było wesołym napisem, który kontrastował z panującą dokoła szarością: „Cudowny ogród – Kwiaty – 3 bis rue Delambre – 75014 Paryż”. Madeline zamachała ręką na przywitanie i szybko wsiadła do samochodu.

– Ciao, Madeline, witaj w Paryżu! – Kwiaciarz uśmiechnął się, podając jej ręcznik.

– Cześć, stary! Strasznie się cieszę, że cię widzę!

Wycierając włosy, przyglądała się młodemu Azjacie. Takumi miał krótką fryzurę, sztruksową marynarkę i jedwabną chustkę na szyi. Na czubek okrągłej głowy wsadził flanelowy kaszkiet w kratkę w taki sposób, że widać było małe, odstające uszy, co upodabniało go do myszki. Nosił rzadkie wąsy, bardziej podobne do zarostu dorastającego chłopca niż do tych, które zdobiły twarz Thomasa Magnuma. W ogóle się nie postarzał od chwili, gdy Madeline opuściła Paryż, zostawiając mu śliczną kwiaciarnię, gdzie zatrudniła go kilka lat wcześniej.

– Super, że po mnie wyjechałeś! Dzięki! – powiedziała, zapinając pas.

– Nie ma za co, nie dałabyś rady dojechać dziś sama z powodu tych cholernych strajków!

Takumi wrzucił pierwszy bieg i skręcił w rue d'Abbeville.

– Jak widzisz, nic się tu nie zmieniło od twojego wyjazdu… – Wskazał na grupę manifestantów. – Z każdym dniem jest coraz gorzej!

Wycieraczki starego renault z trudem odgarniały strumienie deszczu zalewające przednią szybę.

Mimo kolejnego ataku mdłości Madeline zmusiła się do kontynuowania rozmowy.

– Więc jak tam ci idzie? Nie bierzesz urlopu na Boże Narodzenie?

– Biorę, ale pod koniec przyszłego tygodnia, nie wcześniej. Pojedziemy na święta do rodziny Marjolaine. Jej rodzice mają gorzelnię w Calvadosie w Normandii.

– Jeśli wciąż masz tak słabą głowę, to zapowiada się nieźle!

Twarz Takumiego stała się purpurowa. Przeczulony jak dawniej ten Takumi! Uśmiechnęła się pod nosem, obserwując przez okno rozmywający się miejski pejzaż. Furgonetka dotarła na boulevard Haussmann, a pół kilometra dalej skręciła w rue Tronchet. Mimo ulewy, mimo strajku Madeline była zadowolona, że tu przyjechała.

Lubiła mieszkać na Manhattanie, ale nie umiała korzystać z tej magicznej energii tak wychwalanej przez niektórych jej przyjaciół. Prawdę mówiąc, Nowy Jork ją wykończył. Jej ukochanym miastem zawsze był Paryż, tu przyjeżdżała lizać rany. W Paryżu mieszkała przez cztery lata. Niekoniecznie te najpiękniejsze, ale przynajmniej te najważniejsze, podczas których starała się zorganizować od nowa swoje życie, odzyskać wiarę w siebie, odrodzić się.

Do 2009 roku pracowała w Anglii, w wydziale kryminalnym policji w Manchesterze. Tam jako głównej inspektor przypadło jej makabryczne śledztwo – sprawa Alice Dixon – które zniszczyło ją psychicznie i zmusiło do opuszczenia służby. Straciła wówczas wszystko: pracę, szacunek kolegów, pewność siebie. W Paryżu zaczęła sprzedawać kwiaty: wynajęła mały sklepik w dzielnicy Montparnasse, z dala od spraw kryminalnych, morderstw, zaginionych dzieci. To spokojniejsze życie załamało się, gdy przypadkowe spotkanie podsunęło jej zaskakujący trop pozwalający pociągnąć dalej śledztwo, które zrujnowało jej karierę. W końcu sprawa Alice Dixton zakończyła się szczęśliwie w Nowym Jorku. Okoliczności, w których Madeline odniosła ten sukces, pozwoliły jej wstąpić do służb administracji WITSEC-u, federalnego programu ochrony świadków. Zostawiła wówczas swoją małą kwiaciarnię Takumiemu i poleciała do Nowego Jorku. Rok później policja nowojorska

zaproponowała jej stanowisko konsultantki w wydziale spraw niewyjaśnionych. Madeline miała za zadanie rzucić świeżym okiem na niektóre z umorzonych śledztw. Praca, która byłaby ekscytująca w serialu telewizyjnym lub w kryminale Harlana Cobena, w rzeczywistości okazała się arcynudną papierkową robotą. W ciągu czterech lat ani razu nie oddelegowano Madeline w teren, nie udało jej się też oficjalnie wznowić żadnej ze spraw. Wydział, w którym pracowała, nie miał funduszów i zderzał się z biurokracją tak wielką, że przy niej biurokracja francuska była niczym. Każda prośba o analizę DNA wymagała wypełnienia sterty formularzy, a żeby uzyskać zgodę na przesłuchanie dawnego świadka czy w ogóle dotarcie do pewnych dokumentów, trzeba było przedstawić szaloną liczbę zezwoleń. W rezultacie FBI, które strzegło najbardziej interesujących spraw kryminalnych, i tak wszystkie jej inicjatywy odrzucało.

Bez żalu więc porzuciła tę pracę i wróciła do Anglii. Miała nawet do siebie pretensje, że tak się zasiedziała w Stanach. Od czasu bowiem, kiedy Jonathan Lempereur, człowiek, którego pokochała i dla którego przeniosła się na Manhattan, wrócił do żony, nic już tak naprawdę nie trzymało jej w tym kraju.

– Wiosną będziemy mieli z Marjolaine dziecko – zwierzył się jej nagle Takumi.

Ta rewelacja wyrwała ją z zamyślenia.

– Och, to wspaniale! – wykrzyknęła, starając się, żeby te słowa zabrzmiały radośnie.

Ale jakoś jej nie wyszło. Takumi szybko zmienił temat.

– Dlaczego właściwie przyjechałaś do Paryża? – zapytał.

– Takie tam różne sprawy… – odparła wymijająco.

– Jeśli chciałabyś spędzić z nami święta, serdecznie zapraszam!

– To bardzo miłe z twojej strony, ale raczej nie. Nie miej mi tego za złe, po prostu potrzebuję pobyć sama.

– Jak chcesz.

Znów zapadła cisza, tym razem ciężka. Madeline nie próbowała jej przerwać. Wyglądała przez okno, szukając znajomych miejsc, starając przypomnieć sobie okres, kiedy życie w Paryżu było jej codziennością. Place de la Madeleine skierował jej myśli ku zorganizowanej w pinakotece wystawie, poświęconej Dufy'emu. Rue Royale skojarzyła się z bistro, gdzie podawano fenomenalną cielęcinę w sobie śmietanowym. Z kolei na moście Aleksandra III pomyślała o swoim wypadku motocyklowym, do którego doszło tam pewnego deszczowego dnia…

– Masz jakieś plany zawodowe? – spytał Takumi.

– Oczywiście – skłamała.

– Widziałaś się ostatnio z Jonathanem?

Nie twój zasrany interes! – zirytowała się w myślach.

– Koniec przesłuchania? Przypominam ci, że to ja jestem policjantką!

– No właśnie już nią nie jesteś, jeśli dobrze wszystko zrozumiałem…

Madeline westchnęła. Takumi naprawdę zaczynał działać jej na nerwy.

– Dobra, będę szczera! – oświadczyła. – Ani jednego pytania więcej! Byłeś u mnie praktykantem, odsprzedałam ci swój biznes, zgoda, ale to nie znaczy, że możesz wsadzać nos w nie swoje sprawy!

Gdy przejeżdżali przez esplanade des Invalides, Takumi spoglądał na Madeline spod oka. Nic się nie zmieniła. Zawsze była szczera aż do bólu, zawsze w tej samej skórzanej kurtce… i te jasne włosy obcięte równo nad karkiem, trochę oldskulowo…

Podenerwowana Madeline opuściła szybę i zapaliła papierosa.

– Co, wciąż jeszcze palisz? – oburzył się Takumi. – To bardzo nierozsądne!

– Zamknij się! – rozkazała, prowokacyjnie dmuchając mu dymem prosto w twarz.

– Nie! Nie w moim samochodzie! Nie chcę, żeby tu potem śmierdziało szlugami!

Madeline, korzystając z faktu, że furgonetka zatrzymała się na czerwonym świetle, chwyciła walizkę i otworzyła drzwi samochodu.

– Co ty wyrabiasz?! – wrzasnął Takumi.

– Jestem już za stara, żeby wysłuchiwać tanich morałów. Dojdę do domu pieszo.

– Nie, zaczekaj…

Ale trzasnęła drzwiami i odeszła szybkim krokiem po chodniku rue de Grenelle.

Wciąż lało.

3

– Strajk? Co za strajk?! – warknął Gaspard.

Tragarz wzruszył ramionami i machnął ręką.

– No wie pan, jak zwykle…

Gaspard osłonił czoło dłonią, żeby chronić twarz przed strugami lejącego deszczu. Oczywiście nie miał parasola.

– I co, nie ma taksówek?

– Nie ma. Może pan spróbować RER B, ale kursuje co trzeci pociąg.

Świetny pomysł, lepiej umrzeć!